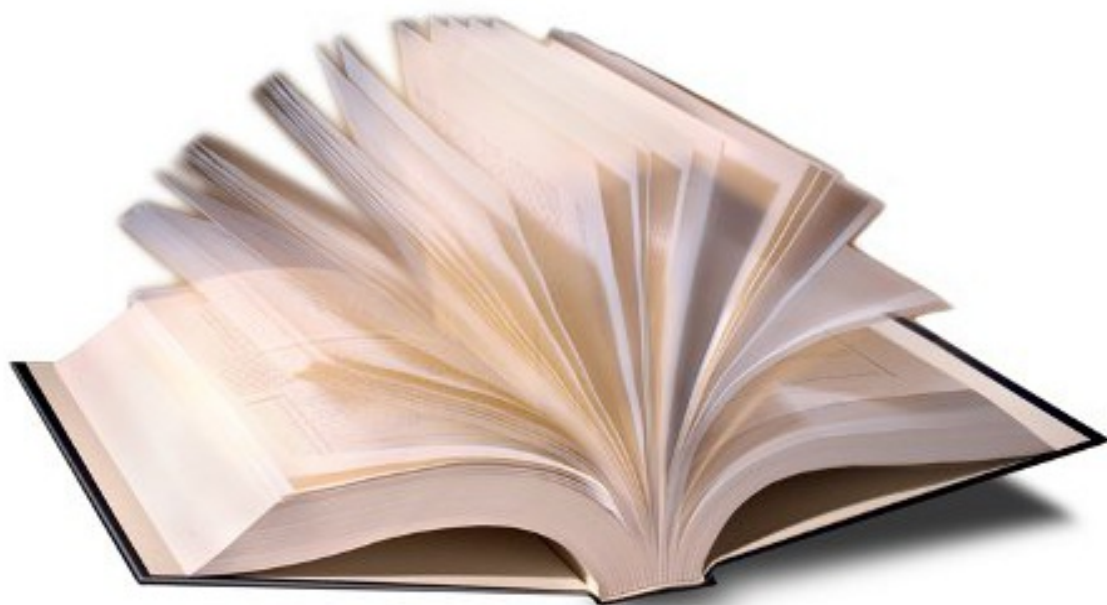


# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# SPRZYSIĘŻENIE STARCÓW

Jack London

W koszarach sądzono człowieka. Stawką było życie. Przed sądem stał starzec, Indianin znad Rzeki Białej Ryby, która wpada do Yukonu poniżej jeziora Le Barge. Sprawa poruszyła całe Dawson, a także ludność osiadłą nad Yukonem — tysiąc mil w górę i w dół rzeki. Anglosasi — rabusie mórz i lądów — przyjęli zwyczaj narzucania prawa podbitym ludom. Prawo to często bywa surowe. Ale w procesie Imbera nareszcie okazało się nieudolne i słabe. Z matematycznego punktu widzenia kara nie mogła dorównać winie. Wyrok był przesadzony, niewątpliwy, lecz chociaż wyrażał się karą główną, Imber miał tylko jedno życie, a wieść głosiła, że odpowiada za dziesiątki zabójstw.

Prawdę rzekłszy, dłonie Imbera splamiła krew tylu ludzi, że dokładne obliczenie było niepodobieństwem. W izbie sądowej mężczyźni palili fajki albo grzali się przy piecu i nie mając nic lepszego do roboty, oceniali z grubsza, ile ofiar padło z ręki oskarżonego. Byli to wyłącznie biali; ginęli pojedynczo, po dwóch lub w większych grupach. Morderstwa zdawały się przypadkowe i pozbawione motywów, stanowiły więc zagadkę dla policji konnej zarówno w czasach pionierów złotego górnictwa, jak później, kiedy rozpoczęła się masowa eksploatacja strumieni, a rząd dominium przysłał gubernatora i nowej krainie kazał płacić za jej dobrobyt.

Ale prawdziwą zagadkę stanowiło przybycie Imbera do Dawson i dobrowolne oddanie się w ręce sprawiedliwości. Późną wiosną, gdy Yukon huczy i pieni się pod lodem, sędziwy Indianin (przybyły zamarzlą rzeką) wspiał się z trudem na stromy brzeg i mrugając oczami stanął pośrodku głównej ulicy miasta. Świadkowie tego przybycia zauważyli, że starzec był oszołomiony i wyczerpany. Z trudem powlókł się do stosu budulcowego drewna i usiadł. Przez cały dzień nie ruszał się z miejsca, patrzył prosto przed siebie na płynący nieustannie strumień białych ludzi. Wiele głów obracało się ciekawie, aby zajrzeć mu w oczy; niejedna złośliwa uwaga padła na temat szczególnej miny starego Siwasza. Trudno zliczyć tych, co wspominali później swoje zdumienie na widok tej osobliwej figury i do końca życia reklamowali bystrość, z jaką od razu przeczuli coś niecodziennego.

Ale chwała bohatera wielkiego wydarzenia nieodwołalnie przypadła w udziale Dickensenowi, zwanemu Małym Dickensenem. Niegdyś przywiózł on na Północ górne marzenia i kieszenie pełne pieniędzy. Razem z gotówką zniknęły jednak marzenia i Dickensen, chcąc uzbierać na powrotną drogę do Stanów, przyjął urzędniczą posadkę w kantorze pośrednictwa „Holbrook i Mason”. Na wprost kantoru, po drugiej stronie ulicy leżał stos belek, na którym usadowił się Imber. Dickensen wyjrzał oknem, nim poszedł na obiad, a gdy wrócił, znów wyjrzał i zobaczył, że stary Siwasz tkwi na tym samym miejscu.

Dickensen zaczął raz po raz wyglądać oknem. Później zaś (podobnie jak wielu innych) często pysznił się swą przenikliwością i sprytem. Był to romantyczny jegomość, porównał więc zastygły kształt starego poganina do bóstwa Siwaszów, które spokojnym wzrokiem mierzy hordę anglosaskich najeźdźców. Mijały godziny. Imber nie zmienił pozy ani o włos, nie drgnął mu żaden mięsień twarzy. Dickensen pamiętał, że w swoim czasie jakiś mężczyzna sztywno siedział w saniach na tejże głównej

ulicy, gdzie ludzie kręcili się wciąż tam i z powrotem. Wszyscy myśleli, że odpoczywa, lecz później, kiedy go ktoś dotknął, okazało się, że zamarzył na śmierć pośrodku ruchliwego miasta. Zesztywniał zgięty we dwoje. Przed włożeniem do trumny trzeba go było trzymać nad ogniskiem i odmrażać. Dickensen wzdrygnął się na samo wspomnienie. Później opuścił kantor, by na chodniku wypalić cygaro i ochłonać.

Niebawem nadeszła Emilia Travis: wdzięczna, szykowna, urodziwa panna, która czy to w Londynie, czy na Klondike ubrana była zawsze tak, jak przystoi córce inżyniera-górnika i milionera. Mały Dickensen położył cygaro na zewnętrznym parapecie okna (żeby je później odnaleźć) i zdjął kapelusz.

Po mniej więcej dziesięciu minutach gawędy Emilia Travis spojrzała ponad ramieniem Dickensena i wystraszona pisnęła. Dickensen odwrócił się, żeby zobaczyć, o co chodzi, i zdumiał się niezmiernie. Imber przeszedł z drugiej strony ulicy i stał w pobliżu niby ogromne, chude, zagłodzone widmo, pozerając wzrokiem białą dziewczynę.

— Czego chcesz? — zapytał Dickensen trochę drżącym, lecz zadziernym głosem.

Indianin odburknął coś i postąpił krok w stronę Emilii Travis. Uważnie, bystro oglądał ją cał po calu. Najbardziej bodaj interesowały go jedwabiste, ciemnoblonde włosy i barwa policzków pokrytych delikatnym i zwiewnym puszkim, jak na skrzydłach motyla. Następnie zaczął okrążyć dziewczynę i przypatrywać się jej w skupieniu niby człowiek szacujący budowę konia albo łodzi. W czasie tej wędrówki różowe ucho znalazło się na drodze między oczami Indianina i łuną zachodu. Imber przystanął, utopił wzrok w przezroczystym szkarłacie. Następnie wrócił do oględzin twarzy i długo, przenikliwie patrzył w błękitne oczy. Burknął coś znowu, położył dłoń między łokciem a ramieniem Emilii Travis. Drugą rękę uniósł i przygiął jej przedramię. Zrobił pełną niesmaku zdziwioną minę i z pogardliwym mruknięciem uwolnił rękę dziewczyny. Potem rzucił kilka gardłowych sylab, odwrócił się plecami do Emilii i powiedział coś do jej towarzysza..

Dickensen nic nie mógł zrozumieć, a panna Travis wybuchnęła śmiechem. Gniewnie zmarszczony Imber spojrział na jedno i drugie, obydwójce jednak pokręcili tylko głowami. Miał już odejść, kiedy dziewczyna zawołała:

— Jimmy, hej, Jimmy! Chodź tutaj!

Z przeciwnej strony ulicy nadbiegł Jimmy — rosły, zamaszysty Indianin — ubrany w nienaganny strój białego człowieka i sombrero godne króla złota z Eldorado. Zacinając się, jękając nawiązał rozmowę z Imberem. Był Sitkanem i narzecza z głębi kraju znał bardzo słabo.

— On człowiek znad Rzeki Białej Ryby — wyjaśnił Jimmy Emilii Travis, — Nie bardzo dużo wiem, co gada. Chce zobaczyć wodza białych.

— Może gubernatora — domyślał się Dickensen.

Jimmy pomówił z człowiekiem znad Rzeki Białej Ryby. Stropił się, zrobił poważną minę.

— Chyba potrzebny mu kapitan Alexander — wyjaśnił. — On mówi, że zabił białego mężczyznę i białą kobietę, i białego chłopca, dużo, bardzo dużo białych. On chce umierać.

— Na pewno ma kręcika — odrzekł Dickensen.

— Co ma na pewno? — zdziwił się Jimmy.

Dickensen wymownie stuknął się palcem w czoło i zrobił świdrowaty ruch. — Możliwe, bardzo możliwe — przyznał Jimmy i raz jeszcze zwrócił się do starca, który natarczywie żądał widzenia z wodzem białych.

Konny policjant (spieszony na czas służby w mieście) przyłączył się do towarzystwa i słyszał, jak Imber powtórzył swe życzenie. Był to zuch o potężnych barach, szerokich piersiach i kształtnych, dobrze ustawionych nogach, tak wysoki, że o pół głowy górował nad roslym Imberem. Oczywiście miał

chłodne, szare, a spoglądał i nosił się ze specyficzną pewnością siebie, która stanowi dziedzictwo krwi i tradycji. Imponującą męskość podkreślało jeszcze rzucające się w oczy chłopiństwo; policjant ledwie przestał być wyrostkiem, a rumieniec na jego twarzy byłby zjawiskiem równie normalnym jak na twarzy podlotka.

Imber z miejsca zapalał do niego sympatia. Oczy mu zabłysły na widok blizny po cięciu szablą znaczącej policzek młodzieńca. Zwiędłą dłonią zaczął wodzić po jego łydce, pieścić stalowe ścięgna. Stukał palcami w pięknie sklepioną klatkę piersiową i obmacywał potężne płaty mięśni, co niby pancerz okrywały ramiona. Gromadkę powiększali zaciekawieni przechodnie: krzepcy górnicy, ludzie z pogranicza i z gór, synowie wielu długonogich, barczystych pokoleń. Imber przenosił wzrok z jednego na drugiego, wreszcie przemówił głośno w swoim narzeczu znad Rzeki Białej Ryby.

— Co on mówi? — zapytał Dickensen.

— Gada, że oni wszyscy takie same chłopcy, jak policjant.

Mały Dickensen był niski, toteż przez wzgląd na pannę Travis pożałował własnego pytania nie w porę. Policjant ulitował się nad nim i korzystając z pauzy wtrącił się do rozmowy.

— Myślę, że coś jest w tym jego gadaniu. Wezmę go do kapitana na przesłuchanie. Powiedz mu, Jimmy, żeby poszedł ze mną.

Jimmy zaczął się znów krztusić i jąkać. Imber odburknął coś, jak gdyby radośnie,

— Aha, zapytaj go jeszcze, Jimmy, co powiedział, kiedy trzymał mnie za rękę i w ogóle dlaczego to robił.

Jimmy powtórzył pytanie w imieniu Emilii Travis i otrzymał odpowiedź.

— On gada, że pani się nie boi — powiedział. Dziewczyna uśmiechnęła się nie bez zadowolenia.

— On gada, pani nie *skookum*, nie silna, miękka, jak małe dziecko. On mógłby gołymi rękami połamać panią na kawałki. On mówi, że to bardzo zabawne, bardzo dziwne, że pani może być matką takich dużych, silnych chłopców jak policjant.

Emilia Travis nie stropiła się, nie spuściła wzroku, ale policzki jej pokraśniały. Mały Dickensen zawstydzil się i poczerwieniał również, a chłopięca krew ubarwiła twarz okazałego policjanta.

— No, chodź ze mną! Jazda! — odezwał się przedstawiciel władzy i potężnymi łokciami utorował drogę w tłumie.

W taki oto sposób Imber trafił do koszar, gdzie dobrowolnie złożył obszerne zeznania i skąd nigdy już nie wyszedł.

Imber sprawiał wrażenie człowieka strudzonego. Twarz jego wyrażała zmęczenie, beznadziejne zmęczenie sędziwego wieku. Ciężko opuścił ręce. Oczy miał szklane. Włosy, które powinny być siwe, spaliło słońce i zszargały niepogody, toteż odbarwione kosmyki zwisały w żalonym nieładzie. Imber nie interesował się tym, co działo się dokoła. Izba sądowa pełna była mężczyzn znad strumieni i ze szlaków, a w gwarze niskich, stłumionych głosów dźwięczała złowroga nuta, która w uszach podsądnego brzmiała tak jak odległy szum morza w głębokich pieczarach.

Imber siedział blisko okna i od czasu do czasu spoglądał obojętnie na ponury krajobraz. Chmury przesłaniały niebo, padała szara mżawka. Była pora wylewu Yukonu. Kra spłynęła i wody rzeki wtargnęły do miasta. Na głównej ulicy ludzie, co nie spoczywają nigdy, przesuwali się tam i z powrotem w czółnach i psychówkach. Często łodzie skręcały, wpływały na zalany wodą czworokąt znaczący miejsce placu alarmowego koszar. Czasami znikwały pod oknem. Wtedy Imber słyszał stukanie burt o bale domu, pasażerowie z hałasem włązili przez okna. Później chlupotała woda, kiedy brodzili w stronę schodów przez zatopioną izbę na parterze. Drzwi wpuszczały nowych przybyszów, którzy mieszały się z oczekującym tłumem. Kapelusze trzymali w rękach, wysokie gumowe buty ociekały wodą. Wszystkie spojrzenia zmierzały ku oskarżonemu, jak gdyby publiczność czekała

wyroku i posępnie delektowała się nadzieją kary. Imber patrzył na białych, dumiał o ich dziwnych obyczajach, o ich prawie, co nie śpi nigdy, lecz działa nieustannie w dobrych i złych dniach, w czasie powodzi i głodu, zamieszek i śmiertelnych zmagañ — o prawie, które działać tak będzie do końca świata.

Ktoś donośnie uderzył w stół i gwar rozmów utonął w ciszy. Imber spojrzał ku temu człowiekowi. Wyglądał na ważną osobistość, ale Indianin odgadł, że biały o szerokim czole, który siedzi przy biurku w głębi izby, jest wodzem wszystkich zebranych, nie wyłączając mężczyzny, co stukał. Ktoś inny podniósł się za tym samym stołem i począł czytać na głos z wielu ćwiartek cienkiego papieru. Rozpoczynając każdy arkusz odkasływał, przy końcu każdego ślinił palec. Imber nie rozumiał jego mowy, lecz zdawał sobie sprawę, że inni rozumieją i wpadają w gniew. Chwilami złościł się bardziej, a raz ktoś z publiczności zaklął pod adresem oskarżonego siarczyście i krótko. Znowu rozległo się uderzenie w stół i nastąpiła cisza.

Biały za stołem czytał nieskończenie długo. Jednostajny, śpiewny; ton kołysał do snu i kiedy czytanie umilkło, Imber drzemał na dobre. Później jakiś głos przemówił doń w jego własnym języku znad Rzeki Białej Ryby. Indianin ocknął się, bez zdziwienia spojrzał w twarz syna swojej siostry — młodzieńca, który przed laty porzucił rodzinne strony, aby zamieszkać pośród białych.

— Nie poznajesz mnie pewnie — odezwał się siostrzeniec zamiast pozdrowienia.

— Poznaje — odrzekł Imber. — Tyś Howkan, co od nas odszedł. Twoja matka umarła.

— Była stara — powiedział Howkan.

Imber nic już nie słyszał. Siostrzeniec dotknął jego ramienia i ponownie obudził starca.

— Powtórzę ci wszystko, co ten człowiek mówił, czyli historię zła, które wyrządziłeś i o którym, głupcze, opowiedziałeś dobrowolnie kapitanowi Alexandrowi. Ty musisz mnie zrozumieć i powiedzieć, czy to prawdziwa historia czy nieprawdziwa. Taki jest rozkaz.

Howkan trafił niegdyś do misji, gdzie nauczono go czytać i pisać. Teraz trzymał w rękach liczne ćwiartki cienkiego papieru (z których czytał biały za stołem) spisane przez kancelistę, gdy Imber ustami Jimmy'ego spowiadał się kapitanowi Alexandrowi. Howkan zaczął tłumaczyć. Starzec słuchał czas pewien. Wreszcie zrobił zdziwioną minę i wzburzonym tonem przerwał siostrzeńcowi:

— To moje słowa, Howkanie! Czemu padają z twoich warg, chociaż twe uszy nie słyszały ich nigdy?

Zadowolony z siebie Howkan uśmiechnął się protekcjonalnie. Miał rozdziałek pośrodku głowy.

— Słuchaj, Imberze — powiedział. — Słowa padają z tego arkusza. Oczywiście, moje uszy nigdy ich nie słyszały. Z papieru przez oczy idą do mojej głowy, a później moimi ustami do ciebie. Taką odbywają drogę.

— Taką odbywają drogę? Są tutaj, na papierze?

Arkusze zaszeleściły między palcami starca. Wzrok jego powędrował ku niekształtnym literom. Głos przycichł do nabrzmiałego grozą szeptu:

— To czary, wielkie czary, a ty, Howkanie, jesteś potężnym cudotwórcą.

— Ależ to nic wielkiego, nic wielkiego — zapewniał młody człowiek niedbałym, lecz chełpliwym tonem i na chybił trafił odczytał fragment protokołu:

— „W tymże roku, przed ruszeniem lodów, przybyli stary mężczyzna i chłopiec, co utykał na jedną nogę. Ich również zabiłem, a stary mężczyzna czynił wiele hałasu...”

— To prawda — przerwał Imber zdławionym głosem. — Czynił wiele hałasu i długo nie chciał umierać. Ale skąd wiesz, Howkanie? Może powiedział ci wódz białych? Jemu jedynie mówiłem o tym, a wówczas nikt mnie przecie nie widział.

Zniecierpliwiony Howkan pokiwał głową.

— Mówiłem ci przecie, głupcze, że wszystko jest na tych papierach.

Imber utkwiał wzrok w poznaczonej atramencie białej powierzchni.

— Łowca spogląda na śnieg i powiada: w tym miejscu przechodził wczoraj królik, a tutaj, koło kępy wikliny przystanął, nastawił uszu i przeląkł się czegoś, co usłyszał; tutaj zawrócił własnym śladem i ruszył prędzej, większymi susami, a tędy jeszcze prędzej i jeszcze większymi susami nadbiegł ryś; tam, gdzie pazury głęboko zaryły się w śniegu, ryś zaczął ostatni, najdłuższy skok; tutaj uderzył, dostał królika, a królik był pod nim przewrócony brzuchem do góry; dalej prowadził trop samego rysia, bo królika już nie było wcale... Łowca ogląda znaki na śniegu i mówi: to właśnie stało się tak, nie inaczej i na tym miejscu. Podobnie ty, Howkanie, oglądasz papier i mówisz niby łowca: to właśnie stary Imber uczynił tak, nie inaczej i na tym miejscu.

— Mniej więcej — powiedział Howkan. — A teraz słuchaj wreszcie i póki nie każą ci gadać, trzymaj za zębami swój babski ozór.

Następnie Howkan tłumaczył przez długi czas zeznania, a Imber siedział spokojnie w milczącej zadumie. Po zakończeniu przemówił:

— To słowa moje własne i prawdziwe, ale jestem już stary, Howkanie, i powoli przypominają mi się sprawy zapomniane, o których powinien wiedzieć wódz białych. Pierwszy był mężczyzna, co przyszedł z Górnymi Lodowymi i miał ze sobą zmyślnie sidła sporządzone z żelaza. Ten szukał bobrów nad Rzeką Białą Ryby. Zabiłem go. Później, bardzo już dawno, trzech ludzi szukało złota w Rzece Białą Ryby. Tych zabiłem również, a ciała zostawiłem rosomakom. Koło Pięciu Palców był biały, co miał tratwę i wielkie zapasy żywności. W chwilach kiedy Imber robił pauzy, by odświeżać wspomnienia, Howkan przekładał jego słowa, pisarz zaś brał się do notowania. Publiczność słuchała w skupieniu drobnych tragedii malowanych z prostotą. Wreszcie oskarżony wspominał o rudym, zezowatym mężczyźnie, którego zastrzelił z bardzo dużej odległości.

— Piekielnik! — odezwał się ktoś z widzów stojących w pierwszym rzędzie.

Powiedział to z głębi duszy i ze szczerym bólem. On też miał rude włosy.

— Piekielnik! — powtórzył. — To był mój brat, Bill!

Wyraz „Piekielnik”, powtarzany w regularnych odstępach, słyhać było w izbie sądowej do końca rozprawy. Sąsiedzi nie uciszali jednak przejętego grozą człowieka, nie przywoływano go też do porządku stukaniem w blat stołu.

Imber spuścił głowę; oczy mu zmętniały, jak gdyby od reszty świata odgradziła je szklista błona. Dumał tak, jak tylko starość może dumać o bezgranicznej nicości młodego wieku.

Niebawem Howkan zbudził go znowu, mówiąc:

— Wstań, o Imberze. Rozkazano, abys wyjaśnił, czemu uczyniłeś dużo zła, czemu zamordowałeś wiele ludzi i na koniec przybyłeś tutaj na spotkanie prawa.

Starzec dźwignął się ciężko, zachwiał w przód i do tyłu. Zaczął mówić coś niskim, głuchym, ledwie dosłyszalnym głosem. Howkan przerwał mu rychło.

— Ten stary to skończony wariat — powiedział po angielsku do mężczyzny o szerokim czole. — Mowa jego jest nierozumna jak mowa małego dziecka.

— Chcemy jednak wysłuchać jego mowy, mimo że jest nierozumna jak mowa małego dziecka — brzmiała odpowiedź. — Chcemy wysłuchać słowo w słowo wszystkiego, co mówi. Zrozumiałeś?

Howkan zrozumiał. Imber zaś spojrział rozjaśnionym wzrokiem, bo był świadkiem sporu między synem swej siostry a wielkim człowiekiem. Zaczęła się opowieść, epopeja nieugiętego patrioty, godna, by słowa jej ryc w spiżu dla nauki nie narodzonych pokoleń. W tłumie zaległa martwa cisza. Sędzia o szerokim czole podparł głowę ręką i dumał o własnej duszy i duszy swojej rasy. Słyhać było tylko niski, gardłowy bas Imbera, na zmianę z dyszkantem tłumacza. Od czasu do czasu

rudowłosy mężczyzna rzucał tonem wyrzutu i zdziwienia jeden wyraz: „Piekielnik”. Dźwięczało to niby głos dzwonu bożego.

— Jestem Imber z plemienia Białych Ryb.

Tak rozpoczął tłumaczenie Howkan, który szybko uległ barbarzyńskiemu dziedzictwu. Rychło pozbył się misyjnej ogłady i podziwianej cywilizacji. Porwał go pierwotny ton i rytm słów starca.

— Moim ojcem był Otsbaok, człowiek silny. W moim kraju grzało słońce i panowała radość, kiedy byłem małym chłopcem. Ludzie nie pragnęli nowości i nie słuchali obcych głosów, a obyczaj przodków były ich obyczajami. Młodzi mężczyźni chętni byli kobietom i spoglądali na nie z radością. Niemowlęta ssały piersi matek szerokich i ciężkich w biodrach przyszłością plemienia. Mężczyźni byli w owe lata mężczyznami. Za dni pokoju i obfitości, za dni głodu i wojny — zawsze byli prawdziwymi mężczyznami.

W owe lata więcej było niż dzisiaj ryb w wodach i mięsa w puszczy. Nasze psy niczym wilki nosiły grube futro i wytrzymałe były na mrozy i burze. A my tak samo jak nasze psy; byliśmy równie wytrzymali na mrozy i burze. Kiedy Pellisowie przychodzili do naszego kraju, zabijaliśmy ich albo oni nas zabijali, bo my, Białe Ryby, byliśmy mężczyznami, a nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców wojowali z Pellisami i ustanowili granice kraju.

Jak mówiłem, z nami działo się tak, jak z naszymi psami. Pewnego dnia przybył pierwszy biały człowiek. Włókł się po śniegu na rękach i kolanach, skórę miał mocno napiętą, a pod skórą ostro sterczące kości. Nigdy nie widzieliśmy takiego człowieka; głowiliśmy się więc, skąd pochodzi i do jakiego osobliwego plemienia należy. Biały był słaby, słaby niby małe dziecko. Daliśmy mu miejsce blisko ogniska i ciepłe futra, na których mógłby lec, a karmiliśmy go tak, jak karmi się małe dzieci.

Z białym człowiekiem przyszedł pies wielki, jak trzy nasze, ale bardzo słaby. Sierść miał krótką, nie grzejącą, a ogon tak mu przemarzył, że cały koniec odpadł. Obcego psa karmiliśmy także, układali blisko ognia i pędzili od niego nasze psy, które na pewno by go zagryzły. Od łosiowego mięsa i suszonego na słońcu łosiosa człowiek i pies nabrali siły; urosli jakoś i zhardzieli. Człowiek mówił głośno, szydził ze starych mężczyzn i z młodych mężczyzn, a na dziewczęta spoglądał hardo. Pies walczył z naszymi psami i chociaż miał krótką sierść i był jakiś miękki, jednego dnia trzy na śmierć poszarpał.

Kiedy wypytywaliśmy białego o jego plemię, odpowiadał: „Mam wielu braci” i śmiał się, ale to był śmiech niedobry. Wreszcie całkiem odzyskał siły i poszedł, a wraz z nim poszła Noda, córka wodza.

Niebawem jedna z naszych suk urodziła szczenięta. Nigdy nie widział nikt podobnego miotu. Były krótkowłose, niezdarne, o dużych głowach i szerokich pyskach. Dobrze pamiętam mojego ojca Otsbaoka, człowieka silnego. Twarz spochmurniała mu z gniewu na widok takiej niezdarności, chwycił więc kamień i wnet skończyła się niezdarność. A w dwa lata potem wróciła Noda. Na rękę przyniosła dziecko białego mężczyzny.

Tak się wszystko zaczęło. Przybył drugi biały z krótkowłosymi psami, które zostawił, kiedy ruszał dalej. Wziął za to sześć naszych najsilniejszych psów, a w zamian dał Koo-So-Tee, bratu mojej matki, zaczarowany pistolet, co bardzo łatwo mógł wystrzelić sześć razy raz po raz. Koo-So-Tee był dumny, pysznił się pistoletem, drwił z naszych strzał i łuków. „Dobre to dla niewiast” powiedział i z pistoletem poszedł śmiało na srogiego szarego niedźwiedzia. Teraz wiadomo, że niedobrze polować na srogiego zwierza z pistoletem w rękę. Skąd jednak mogliśmy wiedzieć o tym wówczas? Skąd mógł wiedzieć Koo-So-Tee? Odważnie stawiał czoło niedźwiedziowi i raz po raz wystrzelił sześć naboju z pistoletu. Ale zwierz ryknął tylko i niczym skorupkę jajka zgniótł żebra łowcy, a mózg Koo-So-Tee wyciekł na trawę niby miód z pszczelego plastra. Brat mojej matki był

dzielny łowcą i nie zostawił nikogo, kto przynosiłby mięso jego żonie i dzieciom. Zatem gniew nas ogarnął i rzekliśmy: „Co dobre dla białych, dla nas niedobre”. Była to prawda, bo białych jest mnóstwo i tłustych, a nas, odkąd poznaliśmy ich obyczaje, ubywa wciąż i wciąż chudniemy.

Zjawił się trzeci biały z nieprzebranymi skarbami w cudownym pożywieniu i innych osobliwych rzeczach. Kupił od nas dwadzieścia najsilniejszych psów, a dziesięciu młodych łowców skusił darami i obietnicami i zabrał w drogę, która nie wiedzieć dokąd prowadziła. Powiadają, że zginęli wszyscy w Górach Lodowych, gdzie nie powstała przedtem ludzka noga, albo pośród Wzgórz Milczenia, co leżą poza granicami ziemi. Tak czy inaczej, plemię Białych Ryb nie zobaczyło nigdy ani psów, ani młodych łowców.

Rok po roku przybywało coraz więcej białych i za każdym razem uprowadzali ze sobą młodych mężczyzn skuszonych zapłatą i darami. Czasami młodzi wracali i przynosili dziwne opowieści o niebezpieczeństwach i trudach, których zaznali w krainach położonych aż za ziemią Pellisów. Czasami nie wracali wcale. Mówiliśmy wówczas: „Biali nie dbają o życie, bo są bardzo liczni. Ale nas jest mało nad Rzeką Białej Ryby, a więc młodzi mężczyźni nie powinni opuszczać plemienia”. Ale młodzi mężczyźni odchodzili, odchodziły też dziewczęta, a w nas gniew wzbierał.

Prawda, jadaliśmy mąkę i soloną wieprzowinę, pijaliśmy herbatę, co jest rozkoszą. Ale kiedy zabrakło herbaty, źle się działo, bo wpadaliśmy w złość i nie skąpili obelżywego słowa. Tęskniliśmy do rzeczy, które sprzedają biali. Handel! Handel! Ciągłe był tylko handel. Jednej zimy wymieniliśmy zapas mięsa za duże zegary, które nie chodziły, i zegarki, co miały wszystko w środku potrzaskane; dostaliśmy też wygładzone do cna pilniki i nicwarte pistolety bez ładunków. Później przyszedł głód, a że nie mieliśmy mięsa, cztery dziesiątki zmarły, nim nastąpiła wiosna.

Mówiliśmy: „Teraz jesteśmy słabi. Pellisowie napadną nas i rozszerzą swoje granice”. Ale u Pellisów działo się nie inaczej. Też byli słabi i nie mogli rozpocząć wojny.

Mój ojciec, Otsbaok, człowiek silny, był wtedy stary i niezmiernie mądry. Przemówił do wodza w takie słowa: „Spójrz na nasze psy, są nic niewarte. Nie mają już grubego futra ani mocy, giną od mrozu i padają w uprzęży. Chodźmy do wioski i ubijmy wszystkie oprócz suk-wilczyc, a te uwiążmy nocą na pustkowiu, żeby mogły parzyć się z dzikimi wilkami z puszczy. Inaczej nie odzyskamy psów tęgich i wytrzymałych na chłody”.

Rady mojego ojca posłuchano i plemię Białych Ryb zasłynęło w całym kraju z doskonałych psów. Ale nie zasłynęło ze swych ludzi. Nasza najlepsza młodzież, mężczyźni i kobiety, szli z białymi, żeby wędrować do odległych krajów po lądowych i wodnych szlakach. Dziewczęta wracały postarzałe i zniszczone, jak niegdyś Noda, albo nie wracały wcale. Młodzi mężczyźni przychodzili również. Przez czas pewien siadywali koło naszych ognisk. Mówili nieprzystojnie i nieprzystojnie postępowali. Pili szkodliwe trunki i dniem, i nocą grali w kości. Serca ich targał niepokój, aż wreszcie na nowe wezwanie białych ludzi ruszali do nieznanych krain. Byli bez honoru i nie szanowali nic! Drwili z naszych dawnych obyczajów. Śmieli się w nos wodzowi i szamanom!

Jak rzekłem, plemię Białych Ryb stało się słabe. Wymienialiśmy ciepłe futra i skórzaną odzież na tytoń i whisky albo na bawełniane szmaty, pod którymi dygotaliśmy z zimna w czasie mrozów. Nawiedził nas niedobry kaszel. Mężczyźni i kobiety krztusili się, oblewali potem w długie noce. Łowcy na szlaku pluli, znaczyli śniegi krwią. Raz po raz ktoś krwawił gwałtownie z ust i konał. Kobiety rodziły rzadko, a dzieci przychodziły na świat wątłe, podatne chorobom. Bo od białych przywędrowały do nas inne choroby, o których nigdyśmy nie słyszeli i nic nie mogli pojąć. Nazywali je ospa i odra. Umieraliśmy niby łososie na płytkich wodach, kiedy jesienią, po złożeniu ikry, nie potrzeba już, by żyły dłużej.

Jedno wszelako było najdziwniejsze. Biali ciągnęli do nas niby tchnienie śmierci. Wszystkie ich



drogi wiodły ku śmierci, ich nozdrza ziały śmiercią, lecz mimo to oni nie umierali. Do nich należy whisky i tytoń, i krótkowłose psy. Do nich należą choroby: ospa i odra. Do nich należy biała skóra i nieodporność na mrozy i burze. Ich pistolety strzelają raz po raz sześć razy, ale są nicwarte. A przecie biali tyją od swych rozlicznych niedomagań, rozkwitają, ciężką ręką gniotą cały świat i dumnie depczą wszystkie ludy. Białe kobiety są takie miękkie, miękkie jak niemowlęta, bez trudu można by je połamać. Ale nie łamią się nigdy i rodzą silnych mężczyzn! Z miękkości i z chorób, i ze słabości powstaje siła, potęga i władza. Biali to bogowie albo szatany — jedno i drugie możliwe! Nie wiem. Cóż mogę wiedzieć ja, stary Imber z plemienia Białych Ryb? Wiem tylko, że niepodobna zrozumieć białych ludzi, wędrowców po nieskończonej drodze, co walczą wszędzie, jak ziemia długa i szeroka.

Rzekłem tedy, że mięsa w puszczy było coraz mniej. Prawda, strzelba białego człowieka jest doskonała i zabija z daleka, po co wszakże strzelba, jeżeli nie ma co zabijać, jeżeli nie ma mięsa? W moich młodych latach był łoś na każdym wzgórzu w bliskości Rzeki Białej Ryby, a co rok przychodziły nieprzeliczone karibu. Dzisiaj łowca może dziesięć dni wędrować puszcza i ani jeden łoś nie uraduje jego wzroku. Nieprzeliczone karibu już nie przychodzą. Powtarzam: mało warta strzelba, co zabija z daleka, jeżeli nie ma co zabijać.

Ja, Imber, rozważałem te sprawy i patrzyłem na zgubę plemienia Białych Ryb i Pellisów, i wszystkich innych plemion w całym kraju, które znikają tak jak zwierzyna z puszczy. Długo to rozważałem. Mówiłem z szamanami i ze starcami, co słynęli mądrością. Wychodziłem z wioski, aby mi gwar nie przeszkadzał. Nie jadałem mięsa, aby pełen brzuch nie osłabiał bystrości ucha i oka. Długo, bezsennie siadywałem w puszczy. Oczy miałem szeroko otwarte, by dojrzeć znak. Baczenie, cierpliwie nastawiałem uszu na słowo, którego oczekiwałem. W ciemne noce wędrowałem sam nad brzeg rzeki, gdzie wiatr zawodzi i płacze woda. Tam szukałem rady u duchów dawnych szamanów, zmarłych i pogrzebanych, obróconych w drzewa.

Wreszcie, jak gdyby w cudownym widzeniu, nawiedziły mnie ohydne, krótkowłose psy. Wszystko wydało się jasne. Dzięki rozumowi Otsbaoka, mojego ojca i człowieka silnego, nasze psy-wilki zachowały czystą krew, grube futra i mocne były w zaprzęgu. Wróciłem tedy do wioski i wygłosiłem mowę w gronie mężczyzn. „Biali ludzie — powiedziałem — to tylko plemię, plemię bardzo liczne, w którego kraju na pewno zabrakło mięsa. Dlatego przyszli do nas i zdobywają sobie nowy kraj. Oni są przyczyną naszej słabości i wymierania. To lud dziwnie zgłodniały. Zabiera nasze mięso, jeżeli więc chcemy żyć, trzeba postąpić z białymi tak, jak postąpiliśmy z ich psami”.

Długa była moja mowa. Doradzałem wojnę. Mężczyźni z plemienia Białych Ryb słuchali. Jeden powiedział to, drugi tamto, a niektórzy gadał o innych, mało ważnych sprawach. Nikt wszakże nie rzekł śmiałego słowa o bojowych czynach. Młodzi byli słabi — jak woda chwiejni, tchórzliwi. Ale ja patrzyłem na starców i dostrzegałem, że siedzą cicho, a w oczach ich zapalają się i gasną ognie. Późniejszą porą, kiedy wioska spała i nikt o niczym nie wiedział, wywiodłem starców do puszczy i tam wygłosiłem znów mowę. Rychło doszliśmy do ugody wspominając szczęśliwe młode lata i wolny kraj, i czasy obfitości, uciechy, słonecznych blasków. Nazwaliśmy się braćmi, zaprzysięgli wielką tajemnicę i ślubowaliśmy uroczyście, że oczyścimy kraj od złej rasy, która nas nawiedziła. Dzisiaj pojmuję, że byliśmy szaleni, ale skąd mogliśmy wówczas o tym wiedzieć my, starcy z plemienia Białych Ryb.

Ja spełniłem pierwszy czyn, aby dodać serca innym. Strażowałem nad Yukonem, póki nie nadpłynęło pierwsze czółno. Było w nim dwóch białych. Kiedy stanąłem nad brzegiem i podniosłem rękę, oni skręcili i jęli wiosłować w moją stronę, a człowiek, co siedział na rufie, zadarł głowę, aby zapytać, czego chcę. Dowiedział się rychło, bo moja strzała zaśpiewała w powietrzu i trafiła go

prosto w grdykę. Drugi, który siedział przy wiosłach na dziobie, nie zdążył przyłożyć kolby do ramienia, bo ugodził go pierwszy z moich trzech oszczepów.

„Oto początek — rzekłem starcom, co mnie obścapiłi. — Rychło połączymy się z tymi spośród młodych, którzy moc zachowali, wtedy dzieło będzie łatwe”.

Później trupy dwóch białych wrzuciliśmy do rzeki. A z czółna (było to bardzo dobre czółno) uczyniliśmy ognisko. Spaliliśmy także rzeczy, co w nim były. Ale najprzód obejrzeliśmy je, a były to skórzane wory, które porozcinaliśmy nożami. A w workach było wiele papierów takich, z jakich ty czytałeś dzisiaj, o Howkanie, opatrzonych znakami, których nie mogliśmy zrozumieć, dziwiliśmy się więc niemało. Teraz zmadrzałem i wiem, że te znaki to mowa ludzka, jak mi rzekłeś, Howkanie.

Kiedy Howkan skończył tłumaczyć przypadek z czółnem, w izbie sądowej podniosły się szepty i pomruk, a jakiś głos powiedział:

— To była poczta, co przepadła w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Peter James i Delaney wieźli ją w górę rzeki. Ostatni rozmawiał z nimi Mattehews. Płynął w stronę ujścia, a spotkał ich blisko jeziora Le Barge.

Pisarz zaczął gryzmolić pilnie. Przybywał nowy rozdział do dziejów Północy.

— Niewiele więcej pozostaje — ciągnął z wolna Imber. — To, cośmy uczynili, jest na papierach. Byliśmy starzy i rozumieli mało. Nawet dzisiaj ja, Imber, nie rozumiem jeszcze. Mordowaliśmy tajemnie i wciąż mordowali, bo byliśmy starzy i przebiegli i poznaliśmy prawdę, że działać można szybko, chociaż bez pośpiechu. Kiedy przyszli do nas biali ze srogimi twarzami i wzięli sześciu naszych młodych mężczyzn okutych w łańcuchy tak, że nie mogli się ruszać, pojęliśmy, że zabijać trzeba w dalszych okolicach. Jeden po drugim starcy odchodzili w górę rzeki lub w dół rzeki, do nieznanymi krajów. Zdobywaliśmy się na wielką odwagę, bo chociaż byliśmy starzy i mężni, strach przed nieznanymi krajami to wielki strach i łatwo ogarnia ludzi starych.

Zabijaliśmy tedy bez pośpiechu i chytrze. Zabijaliśmy na przełęczy Chilcoot i w Delcie, i na szlakach, co wiodą do morza; zabijaliśmy wszędzie, gdzie biali zakładali obozy albo stawali noclegiem. Prawda, umierali, ale nie miało to znaczenia. Nieustannie przybywali zza gór. Było ich więcej i więcej, a nas, starców, ubywało i ubywało. Pamiętam biwak jednego białego przy Brodzie Karibu. Był to bardzo mały mężczyzna, a trzech naszych starców zaskoczyło go we śnie. Następnego dnia znalazłem wszystkich czterech. Oddychał tylko ów biały i tyle pozostało w nim tchu, że nim skonał, zdążył mnie przekląć raz, ale okropnie.

I my ginęliśmy zatem. Wciąż przepadał to jeden, to drugi. Czasami po długim czasie dowiadaliśmy się, jak umierali. Czasami nie dowiadaliśmy się wcale. A starcy z innych plemion, słabi i tchórzliwi, nie chcieli do nas przystawać. Jak rzekłem, moi bracia ginęli jeden po drugim, aż wreszcie zostałem sam. Jestem Imber z plemienia Białych Ryb. Ojcem moim był Otsbaok, człowiek silny. Teraz nie ma już plemienia Białych Ryb. Jam jest ostatni ze starców. Młodzi mężczyźni i młode kobiety odeszły. Niektórzy żyją pośród Pellisów, niektórzy pośród Plemienia Łososi, a najwięcej trafiło do białych ludzi. Jestem bardzo stary i bardzo strudzony, a że, jak mówiłeś, Howkanie, na próżno walczyć z prawem, przyszedłem szukać prawa.

— O Imberze! Zaiste, wielki z ciebie głupiec — powiedział Howkan.

Ale Imber już drzemał. Drzemał także sędzia o szerokim czole. W marzeniach, jak we wspaniałej wizji, stanęła przed nim jego rasa — zakuta w stal, odziana w kolczugi rasa prawodawców i budowniczych świata, wybrana spośród innych ludów. Widział jej brzask migocący purpurą pośród mrocznych puszczy i posępnych fal morza. Widział ją w pełnym blasku, krwawym, płomienistym triumfie Południa. Widział, jak zalane posoką czerwone piaski staczają się w ciemności nocy po cienistym zboczu. A na tle tego wszystkiego dostrzegał PRAWO — bezlitosne i potężne, zawsze

nieugięte i zawsze władcze, silniejsze niż ludzkie drobiny, które nim szafują albo łamią się pod jego brzemieniem, silniejsze niż on, sędzia, w którym serce przemawia za miłosierdziem.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)